

— Dwie kompanie lekkiej piechoty z Martyniki. Teraz pora! Lewa strona, uwaga! Ustawić się na ukos do tyłu fregaty!

Bysze oczy małego komendanta spostrzegły, że powierchnia wód zaczyna się marszczyć — dowód nadchodzącego wiatru. Skorzystał z niego, aby ruszyć na Francuza i dosięgnąć go w przejeździe ogniem z wszystkich dział. Dostawszy się raz na tyły fregaty, musiała się „Leda” cofnąć pod wiatr, chcąc wypłynąć na otwarte morze. Ten manewr sprowadził ją na tyły Francuza i gotująca się do drogi mała fregata znalazła się chwilowo w ciężkim położeniu, przyjął salwę działową z otwartych strzelnic przeciwnika. Załoga jej wdrapała się na liny, aby rozwinąć górne i dolne żagle i umożliwić okrętowi uderzenie na „Gloire”, po ustąpieniu się szlorcem do brygu Francuza. Kapitan francuski wykonał zwrot i oba okręty jechały teraz równolegle w odległości strzału pistoletowego, ostrzeliwując się salwami w jednej z tych morderczych walk, które pokryłyby mapy nasze krwią, gdyby tylko mogły być zaznaczone.

W ciężkim, podzwrotnikowym powietrzu dym tworzył, przy słabym wietrze, gęste tumany dookoła obu statków, z których sterczały zaledwie wierzchołki głównych masztów. Przeciwnicy ostrzeliwali się na oślep, wśród smug działowego ognia; armaty nabijano, celowano i strzelano w kłębach gęstego dymu. Na wieży przedniej i tylnej dwa szeregi marynarzy oddawały salwę za salwą, lecz ani oni, ani puszkarze okrętowi nie mogli widzieć rezultatów ich ognia. Nie mogli nawet oznaczyć, w jakiej walczą odległości, przy działach bowiem z trudem można było tylko rozróżnić, co dzieje się z lewej lub prawej strony. Po ryku armaty, następował przenikliwy odgłos gwizdzącej kuli i trzask rozbijanych desek. Od czasu do czasu słychać było ciężkie uderzenie, jakby głazu lub belki padającej z hukiem na pokład.

Porucznik przechodził się wzdłuż linii dział a kapitan Johnson starał się usunąć dym z pomocą kapelusza, wychylając się co chwila niecierpliwie poza burie.

— To nieźrównane, Bobby — rzekł porucznikowi, który podszedł do niego. Potem opowiadując się — jakie straty, Whartonie? — zapytał.

— Główny maszt uszkodzony i nasza flaga stracona, sir.

— Co się z nią stało?

— Spadła poza pokład, sir.

— Będą sądzić, żeśmy ją zwinęli. Każ zdjęć chorągiew z szalupy i umocować ją na pokładzie sternika, na reji głównego masztu!

— Dobrze, sir.

W tej chwili kula rozbiła za niemi domek na busole. Następna powaliła dwóch marynarzy, zmieniając ich w krwawą, drgającą masę. Dym opadł na chwilę i kapitan angielski ujrzał jak straszne spuszczenie sprawiła ciężka artylerja przeciwnika. „Leda” była już rozbitą pudłem. Jej pokład pokryty był trupami, wiele strzelnic podruzgotanych a jedna z osiemnastofuntówek leżała, odrzucona z łożyska na prawo, stercząc wprost ku niebu. Szczupłe szeregi marynarzy jeszcze nabijały broń i strzelały, lecz połowa dział już milczała a ich obsługa leżała bez duszy.

— Trzymać się dobrze! Atakuj! — darsi się przeraźliwie kapitan.

— Do noży, chłopcy do noży! — ryczał na całe gardło Wharton.

— Strzelajcie, dopóki nie zaatakuj! — krzyczał kapitan. Potężny kadłub Francuza wyłonił się z dymu. Gęste chmary majtków zwisały się u jego boków i lin. Raz ostatni rozbrzmiała salwa działowa i główny maszt „Ledy”, obcięty równo na kilka stóp od pokładu, zakręcił się w powietrzu i runął z trzaskiem na strzelnicę działową, zabijając dziesięciu ludzi i wykluczając z walki całą baterję. W chwilę później dwa okręty szczepiły się z sobą, a boczna kotwica sztymbarku „Gloire” dosięgała łańcuchów masztu średniego „Ledy” na jej lewym pokładzie. Z przeraźliwym wyciem przygotowywała się do skoku czarna czereda majtków. Lecz stopy ich nie miały dotknąć zbrozonego krwią pokładu przeciwnika.

Z oddali dał się słyszeć gwizd dobrze celowanego kartaczowego pocisku, potem drugi i następny. Marynarze i żołnierze angielscy, czekając z nożami i muszkietami, poza milczącym szeregiem dział, spostrzegli zdumieni, że ciemne masy cofają się i topnieją. W tej chwili dał się słyszeć huk armat i od lewej strony Francuza.

— Uwolnić kadłub! — ryczał kapitan. — Co za djabel tam strzela?

— Nastawić armaty! — stękał porucznik. — My im jeszcze pokażemy, chłopcy!

Resztki statku zostały oderwane, odepchnięte, opuszczone na wodę i w walkę wmieszało się z powrotem zrazu jedno działo, potem następne.

Kotwicę Francuza odcięto i „Leda” odłączyła się od fatalnego olbrzyma.

Nagle spostrzeżono ruch na linach „Gloire” i stu Anglików zaczęło wołać ochryplym głosem: Uciekają! Uciekają!

Była to prawda. Francuz przestał strzelać i starał się teraz wszelkimi siłami wydobyć pod żagle na pełne morze. Stu ludzi nie krzyczało bez żadnej przyczyny, a nie trudno było je znaleźć, gdy dym opadł. Okręty dostały się podczas bitwy do ujścia zatoki i oto w odległości jakich czterech mil ku morzu nadciągała z rozwiniętymi żaglami towarzysząca „Ledy”, zwabiona hukami dział. Kapitan de Milon zrezygnował z dalszej walki; „Gloire” odpływała szybko ku północy, ścigana zażarciem przez „Dito” ogniem ze wszystkich armat... Wzgórza zakryły niebawem oba statki przed oczyma patzących.

„Leda” kołysała się smutnie na falach, z głównym masztem strzaskanym, podruzgotanym, zestrzelonym średnim masztem i flagą, z żaglami przypominającymi strzępy żebacz i sełką ludzi zabitych lub rannych. Tuż za nią kołysała się na falach jakaś niekształtna masa. Był to tył rozbitego okrętu a na nim na czarnym tle, białymi literami wymalowane, widniały słowa: „Wojownicza Sal”.

— Na boga! To bryg, który nas ocalił! — wykrzyknął Wharton. — Hudson wdał się w walkę z Francuzem i zmiołła go salwa działowa.

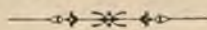
Mały kapitan obrócił się na pięcie i zaczął się przechadzać po pokładzie. Załoga okrętu zatkała już dziury od strzałów, wiążąc, zbijając deski, reperując. Kiedy kapitan podszedł znów do porucznika, ujrzał ten rozrzewnienie w surowych rysach jego twarzy i oczach.

— Czy wszyscy zginęli?

— Wszyscy. Musieli pójść na dno razem ze statkiem.

Obaj oficerowie spojrzeli w dół na złowrobną nazwę i okaleczony szczątek, który unosił się na wodzie, obok strzaskanego masztu, wśród gmatwaniny lin, chwiała się na falach coś czarnego, miotane na wszystkie strony. Była to hafbiąca flaga a przy niej czerwona czapka.

— Łotrem był, ale czuł się Anglikiem — rzekł w końcu kapitan. — Żył jak pies, lecz, na Boga, umarł jak bohater.



TABIL.

Oko „radjowe”

(Groteska omal, że nie oryginalna).

Opasły jegomość, który siedział naprzeciwko Pawła, odsunął z białym zadowoleniem filiżankę, skąd właśnie wysączył ostatnią kroplę mokka i oblizawszy wąż, zapalił imponujących rozmiarów cygaro. Wypuścił kilka kłębow dymu, poczem skierowawszy szybko rękę ku twarzy, wyjął ostrożnie jedno... oko, uśmiechając się przytem rozkosznie. Przetarł je jedwabną chusteczką, — tak jak to robi się z okularami, — i po chwili włożył je z powrotem na swoje miejsce.

Paweł z podziwu połknął wyklówacz, którym dłubał właśnie w zębach i — pełen zachwyty wyszeptał: Bajeczne!

Jegomość zwrócił się przyjaźnie do Pawła:

— O czym Pan mówi?

— Proszę wybaczyć... ale, ta naturalność wprawiła mnie w zachwyt.

Uśmiech jegomościa rozstłonecznił się jeszcze bardziej: — Tak — tak... to oko radiowe.

— Co... proszę?

— Oko radiowe. Nie słyszał pan nigdy o tem?

— Rzeczywiście... nigdy.

Jegomość ze szklannym okiem sapał z zadowolenia: — Na Świętą Antennę, nic pan nie słyszał o oku radiowym?

— Przyznaję się — niestety — ale... czy nie mógłby mi Pan udzielić nieco bliższych informacji o tym epokowym wynalazku?

— Ależ bardzo chętnie. Otóż, jak pan tu widzi — przy tych słowach wyjął znów oko i położył je na dłoni — to oczko wygląda zupełnie jak zwyczajne, ale przyjrzyj się pan

mu bliżej, — tutaj ten maleńki punkcik — widzi pan — jest w kontakcie z nerwem ocznym drugiego oka a we wnętrzu znajduje się miernik odległości, który przez odpowiedni nacisk mięśni w jamie ocznej — mogę dowolnie nastawiać. W ten sposób mogę widzieć miejscowości i rzeczy, których nigdy nie dojrzałbym zwyczajnymi oczyma; widzę, jeśli zechcę, wszystkie tajemnice miasta.

— Dobrze — ale jak to pan... widzi? — wyjął Paweł.

— To już — mój panie — tajemnica wynalazcy.

— Acha — a pańskie naturalne oko?

— To poświęciłem — rzecz jasna. — Widzi pan, ja mam wielkie przedsiębiorstwo o 12 filjach a jak wiadomo Panu, można być tylko na jednym miejscu — a wówczas oszukują człowieka na innym, robotnicy nie pracują, kontrola pochłania sumy. Obecnie moi urzędnicy i robotnicy wiedzą o tem, że wszystko widzę, pracują zatem pilnie a ja... oszczędzam mnóstwo pieniędzy. Tak, tak, oko radiowe opłaciło mi się sownie.

Paweł poczuł, że maci mu się w głowie.

— Och — gdyby mieć takie oko, wiedziałoby się wszystko... wszystko. Widziałoby zawsze żonę wszędzie... a on był taki zazdrosny. Wprawdzie nie miał żadnych dowodów, ale ten ciągły niepokój, ta niepewność! — Mając takie oko nie musiałoby się już tak dręczyć.

— Czy nie mógłby mi pan podać adresu wynalazcy?

— Owszem, bardzo chętnie. Oto jego bilet. Jestem zapalonym wielbicielem mego wynalazcy i cieszę się, jeśli mogę mu przysporzyć klientów.

Paweł wziął bilet z rąk grubasa i odczytał: Dr. Tadeusz Pochroń, Steniradzkiego 14 I. p. t... nic więcej... żadnych bliższych objaśnień.

Paweł uściśnął gwałtownie rękę opasłemu panu i... wybiegł z biletem na ulicę.

W domu położył od niechcenia bilet na biurku a sam podszedł do kasy, aby wyjąć większą

sumę na to... oko. Kiedy odwrócił się od kasy ujrzał żonę przed sobą. Trzymała bilet w ręku.

— Kto... kto... to taki? — pytała, błędnie niespodzianie.

— To... to mój... dawny znajomy.

— Tak?

Paweł tryumfował; widocznie musiała już coś słyszeć o tym wynalazcy, więc dlatego, tak się zmieszała. — Mam cię... kochu — pomyślał.

— Wychodzę do krawczyny — oświadczyła nagle i wyszła z pokoju.

Nie do krawczyny poszła, ale do... dra Pochronia.

— Tadzik, mój mąż wie o wszystkim.

— Jaki?

— Dzisiaj znalazłam Twój bilet wizytowy u niego.

— Hm... ciekawe!

— I z pewnością będzie tu zaraz.

W tej chwili usłyszeli szum auta za'ez'żającego przed dom.

— Otóż i on!

— Spokoju — droga Miluś — ukryj się w mojej sypialni — ja już wszystko załatwię.

W minutę później Paweł stał przed doktorem Pochroniem.

— Czem mogę panu służyć?

— Panie doktorze, przychodzę w sprawie... oka radiowego.

— Co takiego?

— W... sprawie oka radiowego. Słyszałem o pańskim cudownym wynalazku i zdecydowałem się poświęcić oko, aby móc mieć takie wszędzie — i... opowiedział „doktorowi” o rozmowie z otyłym jegomościem.

Doktor otwierał coraz szerzej oczy, nareszcie kazał opisać sobie tego pana.

— Ach, to wujaszek Kazik — o! ty, stary figlarzu ze szklannym okiem!

— O kim pan mówi?

— Ach, to nic — przypomniałem sobie jednego z klientów. Przepraszam bardzo, lecz